



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: KOWBOJE NA SPALONYM

Co tu ukrywać: wraz ze śmiercią Johna Forda i Howarda Hawksa skończyła się epoka prawdziwego westernu. Cóż z tego, że przez wiele lat usiłowano western odnowić, uwspółcześić, uaktualnić, że tworzono „westerny psychologiczne” i „antwesterny”? „W samo południe” Freda Zinnemanna, „15.10 do Yumy” Delmera Davesa i inne były wszak ciągłym odniesieniem do żyjących i wciąż kręcących kolejne opowieści o złych i dobrych kowbojach, nieugiętych „klasyków”.

„Ostatni kowboj”, Kirk Douglas, mógł sobie jak najefektniej skończyć pod stertą, przywalających go muszli klozetowych, które wypadły, na niego i jego konia z rozbitej ciężarówki, ale reżyser filmu zadawał sobie przede wszystkim pytanie, na ile ta scena sprostą niezapomnianym obrazom z „Dyliżansu”, „Rzeki Czerwonej” czy „Rio Bravo”. Można było mnożyć w nieskończoność historie starające się przeniknąć na samo dno psyche gentlemanów z coltami u pasa, ale czy zdolne były one zrównoważyć znajomość duszy ludzkiej Johna Forda unaocznioną w „Dyliżansie”?

Zaskakujące, jak bardzo western „nowoczesny” czerpał siły z westernu „klasycznego” i jak bardzo wątplym tworem okazał się, gdy zabrakło starych mistrzów. Pewnie: hippisi z ich rewolucją moralno-obyczajową, współcześni włóczędzy-nieudacznicy ze swą filozofią bezustannej wędrówki przez kraj, sfrustrowani żołnierze wracający z wojny wietnamskiej, zręczni manipulatorzy działający za kulisami wielkiej polityki oraz kosmici interesujący się nieustannie naszą planetą przyczynili się również w ważny, sposób do wyparcia westernu z ekranów. Lecz nie ulega wątpliwości, że niestety, wymarło pokolenie twórców, którzy western naprawdę rozumieli, bo po prostu wyznawali model życia swoich bohaterów.

Nie chodzi o to, ile jeździli konno po preriach, spali z kulakiem pod głową na gołej ziemi i żywili się mięsem bawolim. Natomiast większość z tych ludzi była w młodości żołnierzami, lotnikami, poszukiwaczami przygód. Ich życie nie toczyło się w multiplanetowych miastach, lecz na otwartej przestrzeni. Ford, Hawks czy nawet Brooks przeżywali też, myśleli i czuli w sposób charakterystyczny dla obywateli Stanów Zjednoczonych z końca XIX i pierwszych dziesiątków lat XX wieku. I jeszcze jedno: starali się nigdy nie rozstawać z umiłowanym przez nich gatunkiem filmowym.

Reżyserzy westernów nowoczesnych bardzo często traktowali podjęcie tematu z „Dzikiego Zachodu” jako osobistą przygodę z westernem lub jako możliwość przemycenia własnych idei artystycznych, filozoficznych czy społeczno-politycznych pod płaszczykiem atrakcyjnego dla publiczności gatunku. Dlatego często ich dzieła pobrzmiwały, niezamierzenie, fałszywymi tonami.

Podobnie wydaje się być w przypadku ostatnio wprowadzonego na nasze ekrany filmu Alana J. Pakuli. – „Przybywa jeździec”. Dlaczego ten znawca wielkiego współczesnego miasta i ludzi w nim żyjących („Klute”, „Syndykat zbrodni”, „Wszyscy ludzie prezydenta”) przeniósł się nagle na prerie Montany, wpisując w ich pejzaż „kowbojską” historię rozgrywającą się pod koniec drugiej wojny światowej?

Na dalekiej prowincji, gdzie dotychczas hodowano, jak tradycja nakazywała, stada bydła, zaczyna się nagle toczyć walka o odkryte tutaj roponośne tereny. Przybywają z wielkich miast ludzie, którzy gotowi są na zastosowanie wszelkich metod, łącznie z gangsterskimi, aby osiągnąć swój cel – ropę. Równocześnie ciągnie się skomplikowany watek erotyczny. Wszystko to utrzymane w mrocznej, przygnębiającej tonacji zdjęciowej i dramaturgicznej. W sumie: coś z „Syndykatu zbrodni”, coś jakby z Bunuela, film w założeniu ambitny, a przecież w efekcie chybiony, nudnawy.

Pierwodruk: „Kamena”, 1980, nr 19, s. 11.